

ze złotym łańcuszkiem, pierścionki z palców i poczęli pić przyniesione przez niego wino.

Córka zaś w śmiertelnym strachu pod łóżkiem drżała, czekając, kiedy kozacy dom ich opuszczą. Weigel był pewny, że umowy dotrzymają i choć okropnie zmartwiony zrujnowaniem całego majątku, pocieszał się, że choć córkę od hańby wykupił, uratował.

Jeden z kozaków podniósł flaszkę do ust, napił się wina, a potem przymusił Weigla do wypicia reszty. Weigel wypił, aby im się nie sprzeciwić, chcąc tylko wydobyć córkę z tej hańby. Wkońcu kazali mu stanąć przy drzwiach, do obu rąk wsadzili zapalone świece i kazali do góry podnieść, aby oświetlić izbę.

Co kazali, uczynił.

Ale gdy zobaczył, że dwóch weszło pod łóżko i wyciągali krzyczącą z przerażenia córkę, wówczas cisnął świece na ziemię i do córki się rzucił, chcąc ją uratować.

Zbili go, potłukli, potem przywiązali do drzwi i świecę kazali trzymać w dłoni. Karczmarz wrzeszczał, wzywał ratunku, ale jeden z nich przystawił mu rewolwer do głowy i zagroził, że za najmniejszym krzykiem w łeb mu palnie.

Córce Weigla zakneblowano zaś usta, zdarto z niej szaty, nagą rzucono na łóżko.

Skamieniałymi oczyma patrzył karczmarz, jak nad jego córką znęcali się, pastwili. Mordowali szelmy biedną dziewczynę... aż ją zupełnie umordowali.

A stary Weigel całą noc stał przywiązany do drzwi. Świece paliły mu ręce, postronki w ciało się wbiły od szarpania się i bezsilnego szamotania.

Wczesnym rankiem umknęli kozacy, zostawiając zrozpaczoną i zniszczoną wieś. Wiedzieliśmy dobrze, co się dzieje u Weigla, ale nie było sposobu w czemkolwiek mu pomóc. Dopiero, gdy kozacy uciekli przed naszymi patrolami, weszliśmy do Weigla. Jak skamieniały stał przy drzwiach. Odwiązaliśmy go, ale coś mu się stało. Jak go postawić, tak stoi, a mówić, to nic nie mówi. Zaniemówił zupełnie.

A przez tę noc osiwił także. Córka zaś była już zimna zupełnie. Umordowały ją bestyje. Pochowaliśmy ją, a ojciec w karczmie pozostał. Przyjechał syn jego z Budapesztu i prowadzi dalej karczmę, bo ojciec już do niczego.

— Słyszycie chłopcy!

— Psiakrew! Dicz! carska dich! Na pal ich wbić, na suchej gałęzi wywieszać. Psiakrew! — odezwało się kilku.

Zajeżdżamy przed karczmę.

Ogrodzenie rozwalone, znać ślady kopyt końskich na grządkach warzywnych, wokoło pełno słomy i porzucanego siana.

Weszliśmy do karczmy.

Za szynkasem dwudziestoletni syn Weigla sortuje flaszki z wódką i towary kolonialne, sprowadzone po ostatnim pogromie. Smutny, zgnębiony, przybity cierpieniami i zmartwieniem. W izbie kilku gospodarzy siedzi przy kieliszku, rozprawiają coś żywo, gestylując rękami.

Przysiedliśmy się do stolika, zamawiając po lampce wina i kawałka kielbasy. Prędko zawiązała się rozmowa z gospodarzami, którzy naprzemian opowiadali o najeździe kozaków, zniszczeniu, ciesząc się, że już nasze wojska wypędziły ich z Węgier.

Byli to przeważnie robotnicy tartakowi z Dolhy, miasteczka położonego tuż u podnóża Karpat.

— Roboty teraz ustały — użalali się — tartak częściowo tylko idzie, a tu jeszcze tak nas Moskale zniszczyli.

— Damy im pamiątkę — odezwał się Bratkowski — opamiętają ruski miesiąc!

— O, daj Boże! Byście ich panowie stłukli jak najprędzej — odezwali się życzliwie.

Zawiązałem rozmowę z synem Weigla.

Ze łzami w oczach opowiadał mi o całym nieszczęściu. Rozpacz go ogarnęła.

— Siostra w hańbie umarła — mówił — a ojciec zwaryował, czy co? Ani nic nie mówi, tylko chodzi po pokoju, rozkłada rękami, klęka na kolana, to znów rzuca się jak szalony na łóżko i wydaje jakies niezrozumiałe jęki. A siostry mi żal. Taka dobra dziewczyna była, spokojna. Narzeczonego ma przy wojsku, jest przy huzarach i tej jesieni miał być ślub, ale wojna zaskoczyła i takie nieszczęście spadło na nas.

Zdrugiej izby dochodził szmer jakiś, szamotanie się.

— O! słyszy pan? Tó mój ojciec całymi dniami tak nieraz się rzuca. Uspokoić się nie może. Tylko błędnie oczyma przewraca i po pokoju na kolanach się czołga. Biedny ojciec! A co pan myśli — użalał się dalej — że ja nie cierpię? Wiem, co z moją siostrą się stało, teraz widzę mękę ojca i sam ledwie z tego wszystkiego nie zwariuję. Taka wściekłość we mnie się rodzi, że bym sam siebie w kawałki targał. A jak się narzeczony dowie, o ile jeszcze żyje? Tyle nieszczęść, tyle cierpień!

Ukrył twarz w dłoniach, nerwowo przecierając rękami po głowie.

— Daj pan spokój! Co się stało, to się już nie odstanie. Trzeba teraz panu myśleć, żeby ojca choć uratować. Do Budapesztu niech pan jedzie z nim, albo do Wiednia do zakładu, mogą go jeszcze uratować.

— Teraz, wojna panie! Pieniądzy niema, środków niema.

Drzwi od pokoju otworzyły się. Karczmarz Weigel stanął w pośrodku, dzikim wzrokiem wpatrując się w nas. Sądził widocznie, że wrogie zamiary żywimy względem niego. To też widząc mnie spokojnie rozmawiającego z jego synem, zdziwił się bardzo.

Na twarzy znać było cierpienie, które zmienia człowieka w jednej chwili. Trzęsącymi rękami począł przebierać po drzwiach, szeptać coś niezrozumiałego dla nikogo.

Biedny starzec.

Bratkowski przez ten czas opowiedział kolegom o najeździe kozaków i okrucieństwach, które popełnili na niewinnych ludziach.

Zawrzała krew w polskich żołnierzach, rozpałała się straszną zemstą, chęcią odwetu.

O! takie chwile uczą człowieka... wiele uczą!

Przysiadłem się do rozprawiających robotników. Poczęły się opowiadania krótkie wprawdzie, ale pełne tragedii, pełne bólu, rozpacz, wściekłości.

Carska dich!...

Wieczór już zapadł. Furmani napoili konie, opatrzyli koła u wozów, zaczęliśmy się zbierać do powrotu.

Weigel stary snuł się po karczmie jak duch, szukając czegoś. Biedny człowiek. Pożegnaliśmy się z gospodarzami i synem karczmarza i ruszyliśmy w drogę.

— Hej, chłopcy! Karabiny opatrzyć, broń na bagnet, w pogotowiu trzeba być. Może spotkamy „dycz“ w drodze.

Bratkowski nie mógł usiedzieć spokojnie na wozie. Co chwila mu się zdawało, że widzi kogoś na drodze, że będzie pukać, a tu w dodatku krew rozpalona, chęć zemsty w sercu wre, aby choć w części pomścić krzywdy.

Rozprawiamy o słyszanych przed chwilą okrucieństwach.

— Miej tu litość nad nimi! — zaśmiał się gorzko Bratkowski — miej tu litość! Do niewoli ich bierz... psubratów... a jakie pokorne minki mają, gdy się dostaną. Jak niewiniątka... Dam ja im niewolę... dam, niech tylko na odległość bagnetu ich dostanę, bo kula karabinowa to za mało dla nich. Serce się w człowieku kraje, choć to ludzie dla nas poniekąd obcy, nie krewny, nie powinowaty, gdy się patrzy na takie okrucieństwa.

Dyszał z gniewu i z oburzenia.

— Uspokój się, przyjacielu! Będiesz miał dość pola do działania i do zemsty.

— Na to tu jestem!

— Więc chwilę cierpliwości, a niedługo ziszczą się twoje pragnienia.

— Daj Boże!

— Tylko dobrze wal, a wszystko dobrze będzie.

— Ja tam już umiem walić! Rzeźnik jestem i dobry rzeźnik!

— Zobaczmy to, zobaczmy!

Mgła silna opadła na ziemię, tak, że o kilka kroków nie można było rozpoznać drogi, zesłiliśmy z wozów, czterech żołnierzy ruszyło za mną na czoło trenu. Droga stawała się uciążliwą. Powoli posuwaliśmy się z wozami, badając poprzednio drogę, czy można bezpiecznie przejechać.

Zimno dotkliwie dawało się we znaki, od rozmokłej drogi przesiąkło obuwanie. Trzęsąc się, jak we febrze, staraliśmy się jak najprędzej dotrzeć do batalionu, marząc o kąciu ciepłym na kwaterze.

Wyciągnąłem manierkę ze śliwowicą, poczęstowałem żołnierzy.

Konie, źle podkute, potykały się po drodze, utrudniając szybkie przetransportowanie zakupionego siana.

— No chłopcy! spieszymy się! Spieszymy. Już po szóstej. Na siódmą musimy być, bo kto wie, może wymarsz będzie dzisiaj!

— Gdzie? gdzie? — ciekawie pytali.

— Czy ja wiem gdzie! Batalionowy będzie wędził, nie ja. Ale zdaje mi się, że na Galicyę pomaszerujemy. Tu już Moskali nie ma. Oczyszczona już ziemia węgierska z tej żarłocznej szarańczy.

— Do Galicyi pojedziemy!?

— Zdaje mi się!

— Znakomicie! Będziemy walczyć na naszej ziemi! — Przyjemniej będzie leżeć w mogile — zaśmiał się Bratkowski.

— Pewnie!

— Mnie ta wszystko jedno, gdzie, byle bić Mo-

skali! Wszystko jedno będzie, byle Moskali tłuc... choćby w... Petersburgu!...

— Ha... ha... — zaśmiali się.

— Tobo było przyjemnie... co... tak grzmocić Moskali na ich śmieciach!

— Ja Moskale bardzo lubię — odparł z uśmiechem Bratkowski — w cywilu... tuzinami ich zjadałem, a teraz mam ochotę na całą beczkę... a potem popić zamiast nasze „oko“ krwi kozackiej... a piłbym, mam pociąg do picia! Ha! ha! ha!...

Nareszcie po wielu trudnościach dotarliśmy z powrotem do batalionu. Rozdzielono siano dla wszystkich furmanów, żołnierze udali się na spoczynek. Po oddaniu rachunków adjutantowi Jakóbowskiemu, udałem się na kwaterę.

Bratkowski szeroko rozpowiadał o tem, co posłyszał we wsi. Potem wspominał o tem, że mamy maszerować na Galicyę. Otoczono mnie kołem, pytając się, czy prawda.

— Zobaczycie! Ja nic nie wiem! Zdaje mi się, że na Galicyę pomaszerujemy, bo tu już Moskali nie ma. Na razie nasze zadanie spełnione.

— Ale wiecie! Wiecie obywatelu! Tylko nie chcecie nam powiedzieć!

— Mówię wam przecież, że pewności nie mam, przypuszczam tylko, kto wie, jaki rozkaz z pułku może przyjść!

— Mnie tam wszystko jedno — zauważył flegmatycznie Bratkowski — byle tylko Moskali walić i kwita...

* * *

I dotrzymał słowa.

W potyczkach pod Rafajłową, Pasieczną, Zieloną, nieustraszenie się bił, pierwszy zawsze w szeregu, niezważając na świst kul karabinowych, huk pękających szrapneli i granatów. Zachęcał drugich, mówiąc im:

— Takiego, co idzie naprzód, na nic nie zważa, to kule się nie czepiają, omijają go zdaleka!

— Nie bój się! Czepi się i ciebie! — któryś się odezwał.

— Przedtem beczkę Moskali wytłukę! Potem się może czepić!

Czepiła się kula i jego.

Pod Nadworną, po bitwie, do lazaretu polowego się zgłosił.

Nie mogli go poznać!

Twarcz całą krwią zalana, mundur poplamiony krwią, jakby w rzeźni był.

Obmyli mu twarz wodą, opatrzone ranę.

Kula gwizdnęła mu przez policzek, wybiła zęby, rozdarła dziąsła, wyszła drugim policzkiem. Twarcz mu napuchła, nie mógł mówić, bełkotał tylko zranionymi wargami.

— Czego chcecie? — pyta go lekarz.

Be... be... be...

— Co?

Pokazał na migi.

— Co, wódki chcecie? — zaśmiał się lekarz — zaraz dostaniecie.

Napił się trochę, skrzywił ustami.

Obandażowali mu twarz, tylko oczy i usta miał wolne. Po chwili począł znów bełkotać.

Wyciągnął bagnet z pochwy, bagnet cały był pokrwawiony. Pokazywał na migi, że przy szturmie tak nim Moskali zgał, że cały aż po rękojeść był we krwi. Palcami pociągnął po ostrzu, wskazując, że ostry jest i dobrze do ciała wchodzi. Plamy na mundurze czerwone wskazywał, że to Moskali krew. Potem znów coś począł bełkotać.

— Co chcecie? Wódki!...

— Ka... ka... ka... ra... bin.

— Na co?

— Do... komp... pa... nii... i... dę!...

Roześmiał się lekarz serdecznie, poklepał go po ramieniu po przyjacielsku.

Za parę dni, bracie! Rana nie ciężka, prędko się wygoi.

— Dłu... go... cze... ka... kać?

— Tydzień... dwa... Jak się podgoi...

Po dwóch tygodniach rany zblizniły się, Bratkowski wrócił do kompanii.

— Jak się masz Bratek?! — przywitano go.

— Do... brze... — szeplecił.

— Gęba w porządku?

— Zę... bów... nie... ma...

— Czepiła cię kula! Czepiła cię, bracie!

— Tro... chę...

— Będziesz się lepiej bił!...

— Tak... bić... tylko... bić... tą... carską... dich — zaśmiał się, wykrzywił pokaleczone usta. — Tą... kozacką... carską... dich...